2 Tom. — Nr. 7. 15 Lipca 1914.

MURZYNEK.



WYDANIE

Sodalicyi Św. Piotra Klawera

dla misyi afrykańskich.

Rocznie 12 zeszytów. Cena: 1 Kor. (1 Mk.; 50 kop.; 25 cents. am.)

MURZYNEK, miesięcznik katolicki illustrowany, dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, włoskim, niemieckim, węgierskim, czeskim i słoweńskim.

Prenumerata roczna z przesyłką:

1 korona, (= 1 Marka = 50 kopiejek = 25 centów ameryk.). — Cena pojedynczego numeru 10 halerzy. **Adres: Administracya „Echa z Afryki", KRAKÓW. UL. ŚW. ANNY 4.**

Ofiary można przesyłać albo do Krakowa, albo wprost do generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera, hr. *Maryi Teresy Ledóchowskiej*, **Roma**, via dell' Olmata 16.

Dalsze adresy dla przesyłania prenumeraty i ofiar:

Warszawa: Administracya „Przeglądu Katol.", Warecka 11.
" Pan Rokicki, przy kościele WW. Świętych.
Siedlce: p. Jan Sapiecha, ul. Stodolna 9, m. 1.
Petersburg: „Księgarnia katolicka" Newski 34, m. 13.
Wrocław: filia Sodalicyi św. Piotra Klawera, Hirschstr. 33.
Poznań: p. Em. Laskowska, Wienerstrasse 1.
Zabrze-Nord (Górny Śląsk): p. M. Ottka, Kronprinzenstr. 45.
Bydgoszcz: p. Roesmer, Alte Pfarrstr. 5.
Ameryka — Chicago (Ill.) Cleaver str. 1131 p. Br. Sikorska.



WIELKI DZIEŃ.

(Z dziennika Misyonarza z Togo).

Przebywam tedy po raz drugi tutaj, w Adjido; przez drzwi otwarte wzrok mój błądzi po wązkim szmacie krajobrazu, zatrzymując się na kilku, miłych dla oka, schludnych domach, odbijających korzystnie od daleko liczniejszych nędznych chat pod strzechą. Miejscowość, na którą patrzę, zwąca się Małe-Popo, niegdyś, była bardzo ożywionym portem handlowym, dziś jednak, wskutek przeniesienia się władz rządowych do Lóme, straciła wiele ze swego znaczenia. Za tym skrawkiem kontynentu, szumi morze i rozbija swe potężne, białą pianą posrebrzone fale, z grzmiącym łoskotem, o rozpalony piasek wybrzeża, na którem wznoszą się domy Małego-Popo.

Tak, jak to miało miejsce niezbyt dawno, i obecnie powodem mojego zatrzymania się w Adjido jest choroba. Powoli, ale bezsprzecznie, odzyskuje schorzałe ciało utracone siły; zostało ono po prostu nadmiernie zmęczone i domagało się wypo-

czynku, pożywniejszej strawy, a także, niejednego gorzkiego lekarstwa. Będąc chwilowo uwolnionym od pracy misyjnej, korzystam ze stosownej pory i najlepszej sposobności do wywiązania się z danej obietnicy.

— Cóż mam jednak napisać, dla Was i wszystkich kochanych Czytelników i Czytelniczek? »Wszystko jedno co«, odpowiecie zapewne, byle było dobre.

Otwieram mój dzienniczek i spojrzenie pada na datę 17-go kwietnia. »Szczęśliwy dzień«, brzmi tytuł. Dlaczegoby nie to właśnie! Temat nie wydaje mi się niestosownym! Niechże więc trzęsąca się moja jeszcze nieco ręka, nakreśli wam zdarzenia i wrażenia dnia tego. — Zaiste szczęśliwym dniem na tym dalekim lądzie, był ów dzień 17-go kwietnią. Gdyby ktoś poranku tego, idąc od drzwi do drzwi pytał każde z dzieci, które dzisiaj po raz pierwszy dostąpić miały szczęścia zespolenia się w Sakramencie miłości z Chrystusem P. — gdyby się je ktoś pytał kolejno: »Czy dobrze spałeś tej nocy?« — byłby niechybnie otrzymał odpowiedź owej pobożnej dzieciny, o której niegdyś czytałem: »Jakżeby spać można w nocy, poprzedzającej pierwszą Komunię św.?« Zapewne, myśl o, tak niebawem nastąpić mającem, szczęściu połączenia się ze Zbawicielem, z tym najmilszym Gościem, spłoszyć zdolna sen, nawet z oczu dziecka, gdyż pilno mu do spożycia, słodyczy pełnego niebieskiego Chleba. Myśl ta, oddalając sen, i zmęczenie, napełnia duszę nieznanem przedtem szczęściem i radością. Gdy zaś dzwony poranne miastu i wioskom okolicznym, polom i niwom obwieszczają uroczystość dnia tego, to głos ich tak miły, tak słodki znajduje oddźwięk w sercach maluczkich, jak gdyby oznajmiał: »Już —

już nadchodzi chwila; wstawaj i gotuj się, gdyż nadszedł dzień, dzień wielki!«...

Jakże radosnym jest również dzień ten dla miejscowego Ks. Proboszcza lub jego pomocnika. Przez cały szereg tygodni nie szczędzili modlitwy, ni pracy, ażeby tylko te powierzone im serduszka dziecinne, czyste i należycie przygotowane przystąpiły do Tego, Który: »bada serca i wnętrzności«, ażeby nic nie zostało zaniedbanem ze strony pasterza, którego zadaniem jest przywieść jedynemu Dobremu Pasterzowi i Panu dusz wszystkich Jego »baranki«. — I dla tego sługi Bożego rozlega się głos dzwonów dziś uroczyściej, a jakże podniosłem uczuciem napełnia się dusza jego, gdy o świcie, budzi go dźwięk dzwonka na Anioł Pański! Klęczał on do późnej nocy w swojej izdebce, zatopiony w modlitwie i rozmyślaniu, ażeby nazajutrz raz jeszcze, silną wiarą natchnionemi i pełnemi miłości słowy, przemówić do dzieci i zgromadzonych wiernych. Dojrzewały one w tej cichej nocy, jako owoce skupienia i samotności, i oto dojrzałe o zerwanie się proszą, by posilić dzisiaj wiernych pełnią swej mocy i słodyczy.

Wspomnienie pięknych świąt uroczystych, obchodzonych w ojczyźnie, opanowuje człowieka, chciałoby się mieć skrzydła, ażeby tam polecieć i raz jeszcze zakosztować tego, co niegdyś do głębi poruszało serce. Ale jałowa tęsknota! Jesteś wygnańcem w kraju dalekim, opuszczonym, w pustynnym nieurodzajnym kraju pogańskim! Jakżeby tutaj, na tem skwarnem wybrzeżu morskiem doczekać się można tych pięknych owoców z których się u nas zbiera ciągle tak obfity plon?

»A przecież — skarżyć się nie możesz« — pomyślałem dziś rano. Chociaż słońce prażącymi pro-

mieniami zalewa obszary kraju Togo, to jednak cienista palma, bez żadnego z twojej strony zachodu, obdarza cię niejednym słodkim owocem.« Tak było i dzisiaj, w znaczeniu duchowem. Do szczęśliwej rzeszy po raz pierwszy przystępujących do Komunii św. i kraj Togo dołączał gromadkę dzieci i dorosłych.

W Lome wynosiła cyfra uprzywilejowanych 23. W tej liczbie 11. chłopców i 12 dziewczynek. Już dnia poprzedniego o godzinie czwartej po południu zeszły się dzieci w podwórzu misyjnem, ażeby się przygotować do spowiedzi św. O w pół do 6-ej O. Schmitz i ja, zajęliśmy konfesyonały. Wszyscy, nie władający angielskim językiem, spowiadali się u O. Schmitza, mianowicie dziewczynki i niektórzy chłopcy. Znaleźli się i inni penitenci, którzy swą doroczną, lub miesięczną spowiedź odbyć chcieli, to też aż nadto prędko wybiła siódma godzina błogosławieństwa wieczornego, a następnie katechizacyi. O. Schmitz nie przerwał słuchania spowiedzi, podczas błogosławieństwa. Różaniec dnia tego ofiarowanym został, oczywiście na intencyę pierwszy raz komunikujących i ich najbliższych; wszyscy obecni modlili się żarliwie, radośnie, gdyż wszystkim błogie uczucie zalewało serca! Po różańcu odmówiliśmy jeszcze modlitwy odnoszące się do Komunii św.: akty wiary, nadziei. miłości, i t. d. Z trudem, dorównującym ochocie, zostały modlitwy te wyuczone; uczono się ich tem gorliwiej, im bliższym był dzień złożenia z nich egzaminu. Przez ostatnie dwa dni przychodzili wszyscy chłopcy z miasta do szkoły, ażeby głośnem powtarzaniem wyryć je sobie dobrze w pamięci; dla dziewczynek było to zbyteczne, od dawna je umiały. Pewien młody człowiek, mający ze 25 lat, zmuszony pracować przez dzień cały,

poświęcał, więcej niż w ciągu czterech tygodni, wieczorne godziny wyuczeniu się tych modlitw, w czem dopomagali mu brat i siostra. Przez dwa dni, poprzedzające pierwszą Komunię św., nie poszedł wcale do roboty, tylko powtarzał swoje modlitwy, aby je zarówno płynnie wypowiedzieć jak dzieci, i nie zostać wykluczonym od Komunii św. Jakżebyśmy to uczynić mogli, skoro tak punktualnie wraz ze swojem rodzeństwem zjawiał się na wieczornem błogosławieństwie i katechizacyi!

Po skończonem nabożeństwie, widzieliśmy, przy świetle lampy, na podwórzu, grupy dorosłych, gwarzących wesoło, (wielu z nich przybyło na wieczorne modlitwy). Osobno zebrały się gromadki chłopców, osobno dziewcząt; życzono sobie wzajemnie dobrej nocy. Dzieci przystąpić mające nazajutrz do Komunii św. razem stały, lub skupione szły z powrotem do domu. Niektóre z nich zastałem modlące się jeszcze w kościele przed Najśw. Sakramentem. Kilkoro prosiło mnie o pozwolenie przenocowania w misyi, by już nic złego nie widzieć ani słyszeć do jutra. Przystałem na to chętnie pod warunkiem, żeby przez obecnych tu znajomych, powiadomiły o tem swoich rodziców, co też zostało dokonane.

Gdy o świcie dnia szczęśliwego odprawialiśmy, jak zwykle, nasze modlitwy z radością spoczęły oczy nasze na garstce przybyłych już dziatek. Skoro tylko pierwsze blaski jutrzenki przeniknęły sklepienia drzew palmowych, strząsających, za porannym powiewem, rosę, cichutko, przed zwykłą godziną, podniosły się dzieci z posłania i pośpieszyły do kościoła by cześć oddać Temu, Który dzisiaj do nich miał zawitać. Jakże radosnem echem odbił się w ich sercu odgłos dzwonka, wzywającego na po-

ranny „Anioł Pański«: »Oto nadszedł dzień, oto nadchodzi chwila«. Powoli, rosła liczba dziatek, przybywających do kościoła, stawiły się wszystkie na poranną modlitwę i pierwszą Mszę św. o w pół do 7-ej. (D. c. n.)

Z ŻYCIA CZARNYCH POGAŃSKICH DZIECI

przez W. O. Massmanna, byłego Misyonarza w Kongo Belgijskiem.

(Ciąg dalszy).

Widziałeś ojcze rzekę Ituri. Wiesz że jej szeroko rozlane głębokie wody często na długiej przestrzeni płyną cicho i spokojnie; ale znasz także Miamby (wodospady), te miejsca gdzie wielkie złomy kamieni i skał przerzynają i tamują bieg potężnego strumienia. Ze spokojnej pierwiej rzeki, podobnej do tafli jeziora, zapory te kamienne czynią straszliwy huragan pełen takiego huku, że z daleka już wstrzymujesz oddech i czujesz, jak ci serce zaczyna bić silniej. Staruszka wbiła sobie do głowy postanowienie, że po tym to moście przejdzie przez rzekę. Doczekała się nadejścia posuchy aż złomy kamienne, zwane Yanga, a zwykle będące pod wodą, ukazały się na jej powierzchni (Wodospady koło Bafwasobangi). Pewnego wieczoru samotna ułożyła się wcześniej, niż zazwyczaj, na swem twardem posłaniu. Kiedy wszystko dokoła ucichło, staruszka ostrożnie wstała, przy bladem świetle księżyca opuściła chatę i schambę i puściła się na poszukiwanie drogi do ucieczki. Zostawiła za sobą ciężkie i gorzkie długie lata niewoli...

Rybacy mobalijscy, łowiący ryby tej nocy, dostrzegli ciemną i chwiejną postać, próbującą przejść przez Yangi; widzieli również, jak pieniące się wiry porwały nieszczęsną i uniosły z sobą w dół na głębinę.

Jeszcze nie obeschły mi oczy z łez, wylanych nad śmiercią mojej babki, kiedy wielki wódz Nsaka otrzymał rozkaz od Wasungów (białych ludzi) z Bafwakubi, aby natychmiast wysłał jednego ze swych Nyamparów do kraju Nepocko, dla obznajomienia krajowców tamtejszych z robotą około kauczuku. Nyampara Kimya-Kimya, któremu przypadła w udziale ta misya, przehandlował mnie od Kondola i zabrał z sobą. W Nepocko przez kilka lat służyłam jako niewolnica. Lecz nagle, kiedy nie spodziewałam się tego zgoła, zabłysnął dla mnie dzień radosny: Musungu »Kenda-Kenda«, z bomu (stacyi wojskowej), Nepocko, odebrał mnie Munguamie, bo jego ludzie bili mnie ustawicznie tak, że w końcu uciekłam. Razem ze mną wysłał do Bafwakubi, do ciebie, Mupe, jeszcze trzy inne dziewczynki niewolnice; prócz mnie przybyły tu jeszcze Bayakakitande, Baginda i Idu. One także mogą opowiedzieć swoje dzieje.

2. Baginda (Dziewczynka.)

»B a g i n d a m i y e h u y u, B a b a: Jestem Baj ginda mój Ojcze!« W ten sposób odezwał się cie, niutki, świeży dziewczęcy głosik przy mnie. Ta, do której należał, była dziewczynką mniej więcedziesięcioletnią; koloru bronzu, miała krótkie kręcone włosy i uderzająco wielkie, spokojne oczy. — »Bagindo, chętnie posłuchałbym twego opowiadania«. — »Moje opowiadanie, Ojcze, da się zaniknąć

w niewielu słowach. Cieszę się, że nazywasz mnie znowu mojem dawnem imieniem. Odkąd opuściłam wioskę, w której żyłam z rodzicami nie usłyszałam dotąd nigdy mego prawdziwego imienia; dopiero, kiedy wraz z innemi towarzyszkami stanęłam przed tobą, Ojcze, zapytałeś nas o imiona i wpisałeś je do twoich barua (pism.) I wtedy to powiedziałam sobie w duchu: oto tutaj jestem znowu u siebie w domu, tutaj odnajduję napowrót Ojca! Najpierw byłam dzieckiem, jak wszystkie inne dzieci, dopiero kiedy straciłam rodziców stałam się Mali (rzeczą wartościową); bracia mego ojca odstąpili mnie okrutnym Wanguanom; ci zrobili ze mnie kidykasi (niewolnicę) i nazwali mnie »Kibose«; teraz jestem napowrót dzieckiem, jestem znowu Bagindą«. — Jaką drogą dostałaś się tutaj Bagindo?« — Pytasz, jaką drogą, Ojcze? Nie szukałam jej z początku, bom jej jeszcze wtedy nie znała wcale; mimo to, Bóg pozwolił mi ją znaleźć. Była to najpierw ciężka i zła droga; wieleż moich łez padło na nią! Ale była to droga do Boga, bo prowadziła do Bożego sługi, który mnie teraz wiedzie dalej po niej ku niebu. Wiem już teraz, dokąd zdążam, mój Ojcze, ale ty jeszcze nie wiesz, skąd tutaj przyszłam, posłuchaj opowiem Ci o tem:

Wioska nasza nazywa się Bayaddi. Leży ona na brzegu Czarnej wody, którą my Wabuddowie nazywamy »Maika«, a która wpada do rzeki Nepocko: w porze deszczowej rzeka ta wzbiera silnie i rozlewa się szeroko po kraju, zaś w porze suchej wysycha zupelnie. Wtedy to musimy pić wodę z ciemnych i głębokich Tingitingi (głębokie stawy wśród puszczy.)

Ojciec mój nazywał się Mambeacka a matka — Asembo; po raz ostatni widziałam ich jak ich cho-

wano do ziemi: najpierw matkę, a niedługo po niej ojca. Pomarli młodo oboje, a zabiła ich nienawiść złych ludzi. Płakałam wówczas tak, że przez dwa dni nie mogłam znieść światła słonecznego. Nie miałam ani braci, ani sióstr, coby mnie byli pocieszyli w cierpieniu i otoczyli miłością. Oderwano mnie przemocą od grobu rodziców, przy których chciałam pozostać pomimo nocy, bano się bowiem, że stanę się pastwą dzikiego zwierza. Rzuciłam się więc na posłanie w naszej chacie i póty wołałam za ojcem i matką, póki głos mi w piersiach nie zamarł. Wtedy przyszedł mały ojciec (stryj), zabrał mnie z sobą i oddał w opiekę drugiej swojej żonie. Ale uciekłam stamtąd i odnalazłam siostrę mojej matki, mieszkającą w innej wsi. Tam odżyłam nieco. Ale niebawem zjawił się stryj i zabrał mnie powtórnie, bowiem u nas, murzynów, sieroty należą do braci ojcowskich. Siłą mocą broniłam się, ale stryj był silniejszy: Wziął mnie na ręce i zaniósł do swojej wsi. O mój Ojcze! Gdybym była wówczas znała Boga, to byłabym się do Niego modliła; Ale któż u nas uczy dzieci modlitwy? Umiemy tylko płakać, i płacz czarnych dzieci jest ich jedyną modlitwą. Pogańskie dzieci płaczą dużo i wielki dobry Bóg w niebie słyszy ten płacz. Nie wiedziałam jeszcze wtedy o tem, ale płakałam długo i głośno. I zgadnij Ojcze, co się stało: oto porwano mnie i popędzono daleko od ojczyzny. Ból mój powiększył się jeszcze z tego powodu, bo my, Waschensi, (dzicy), wierzymy głęboko, że na serdeczną ranę zadaną dziecku przez stratę rodziców, niemasz lekarstwa zdala od ojczyzny. I krwawi ta rana ciągle, a krwią, która się z niej sączy są własnie te łzy, płynące coraz obficiej, bo do dawniejszego bólu przybywa teraz nowy: tęsknota

za wsią, za chatą, za grobem, przy którym, według naszych wierzeń, duchy naszych przodków przebywają, nie mogąc porzucić całkowicie swych blizkich żyjących na ziemi. Jedyne co mi w mojem nieszczęściu pozostało: kraj, w którym się urodziłam, w którym mieszkali niegdyś moi zmarli rodzice, i to także mi odebrano!

Przybycie trędowatych do Farafangany.

(Opowiadanie Siostry Mazé.)

Jak wiadomo, wydziela nam rząd francuski w Farafanganie, po 60 franków rocznie na każdego z trędowatych, co wynosi dziennie po trzy »sous«; rzecz jasna, iż ta kwota nie wystarcza na pokrycie kosztów utrzymania i pomieszczenia trędowatego. Śmierć wprawdzie czyni częste szczerby w ich szeregach, lecz wypełniają się one szybko nowymi przybyszami. Po największej części, odstawiają nam ich tutaj z rozkazu rządu. Z każdego szczepu i z każdej wioski wyznacza się kolejno kilku, tworząc karawanę, która wyrusza pod przewodnictwem dwóch, w dziryty uzbrojonych, tubylców. Trudno uwierzyć, jeżeli się własnemi oczyma nie widziało, w jakim stanie nędzy dostają się ci biedacy na miejsce swego przeznaczenia.

Przybywającą karawanę zapowiada jeden z jej przewodników, podając do wiadomości, że przybędzie 8, 10, 20 chorych. Dowiedziawszy się o tem, spieszymy na spotkanie podróżnych. Zastajemy niektórych, trzymających się jeszcze na nogach, są to najsilniejsi z całego pochodu. Inni wspierają się na

kiju, gdyż nogi ich do połowy stoczone trądem, kilka głów wystaje z ponad tłumu — są to najnieszczęśliwsi — wśród nieszczęśliwych, najbardziej trądem okaleczeni, których czterech ludzi z ich wsi, niejednokrotnie krewni, niosą na matach. Czasem nie widać wcale chorego, gdyż kryje go całkowicie wózek, jaki tworzy mata lub kołdra czterema końcami przymocowana do drąga, spoczywającego na ramieniu niosących. W tym to wózku musi biedny chory odbywać całą drogę. Łatwo, miły Czytelniku, osądzić możesz, czem jest podróż tego rodzaju i czy tam brakło trzęsienia i podrzucania.

Za chorym postępuje przeprowadzająca go rodzina: ojciec, matka, rodzeństwo, dzieci, wszyscy z tobołkami i bronią, a każdy prawie zaopatrzony w wodę. Nadto transportują się garnki, worki z ryżem, maty; cały ten dobytek podróżuje na barkach i głowach tych biednych ludzi; jedynie chory uwolniony jest od wszelkiego ciężaru, i inni mu usługują. Niczego nie brak na popasach. Oto jeden z podróżnych, zaopatrzony w siekierę, przyspasabia drzewo na ognisko, a oto dwóch młodych ludzi zawiesza na kawałku drzewa, sporządzone z dużych liści naczynia kuchenne — nie brak również i rondla, jednem słowem niczego do przygotowania wieczerzy. Jedna z kobiet rozwija zaczętą matę i wyciąga zwitek słomy, ażeby w czasie popasu nie stracić ani chwilki. Wszyscy rozprawiają, objaśniają i krzyczą, podczas gdy dzieci na plecach matek istny koci urządzają koncert. W końcu ucisza się wszystko na chwilę, tak, iż mogę odczytać głośno spis nazwisk wszystkich obecnych, skreślonych na liście »Faujakany«, (takie jest miano zarządcy), ażeby się upewnić, iż żadna z owieczek nie zginęła po drodze.



Abisynka z dzieckiem.

Wiadomość o przybyciu trędowatych rozchodzi się szybko po całym zakładzie; zbiegają się ku nim biedni chorzy, poszukując między nowo-przybyłymi kogoś ze swego szczepu, lub rodziny. »To brat mój, będzie mieszkał ze mną« — woła jeden — »to moja matka, zabieram ją z sobą«, twierdzi drugi. »Twoja matka? Ależ ty chyba jesteś starszym od niej!« »To znaczy, prawie moja matka, gdyż jest ona żoną szwagra bratowej mojej matki». Widać stąd, iż stopień pokrewieństwa sięga tutaj daleko.

Każdy stara się umieścić obok swoich, a temu, kto nikogo sobie bliskiego nie znalazł, wyznacza się miejsce; wszyscy otrzymują swe porcye ryżu i spożywają wspólną wieczerzę, podczas której odwiedzają się nawzajem. Każdemu z trędowatych, przybywającemu do zakładu, daje się koc i długą koszulę z rękawami. Uspokojeni o los swych chorych krewni powracają tegoż jeszcze wieczoru, lub nazajutrz, do swych siedzib.

Laurencya.

Mała Laurencya była protestantką, ale miała siostry i braci, wyznających wiarę katolicką, ci opowiadali jej często o prawdziwej religii, to też powoli wzrastała u dziewczynki znajomość świętych naszych prawd i tęsknota za tem szczęściem rodzeństwa. Ona także chciała zostać katoliczką.

Dziewczynka chętnie przyszłaby do misyi, ale była słabowita i nie mogła tak daleko chodzić. Choroba coraz bardziej się wzmagała, i Laurencya sądziła, że koniec jej bliski, prosiła więc o księdza

katolickiego, chociaż do misyi protestanckiej było tylko kwadrans drogi, do katolickiej — zaś 3 godziny.

Przyszedłem do chorej. Przypatrywała mi się i rzekła: »Ojcze, udziel mi chrztu katolickiego, bo umrę!« Ale mnie się zdawało, że mała będzie jeszcze żyła i z tego powodu chciałem ją w misyi lepiej przygotować na przyjęcie tego Sakramentu. Zwróciłem się też do pogańskich jej rodziców z prośbą, aby ją zaniesiono do misyi. Dwie jej siostry niosły ją na rękach przez pola i lasy do odległej o 3 godziny misyi. Tu jakiś czas jeszcze uczono dziewczynkę katechizmu, i na końcu ją ochrzono. Była szczęśliwą, lecz teraz tęskniła za Przyjacielem czystych dusz, za Komunią świętą. Ale i ta była tylko przygotowaniem, bo dziewczynka miała opuścić ten świat ażeby się dostać do nieba. Otrzymała jeszcze oleje św. potem pożegnała się ze wszystkimi, którzy otoczyli jej łoże śmiertelne, każdemu jeszcze podała rękę i odeszła z błogim spokojem. Aniołowie w niebie byli bogatsi o jedną duszę.

Módl się, kochany młody Przyjacielu, który to czytasz, módl się, aby dużo takich dziecięcych duszyczek wzleciało ku niebu. Módl się, aby Pan Bóg posłał do Winnicy Swojej dużo robotników, którzyby im pokazali drogę do Niego.

Czy Dzieci polskie w Ameryce kochają misye?

Dzieci polskie w Ameryce odpowiedziały bardzo szlachetnem współczuciem na wołanie biednych dzieci z Afryki.

W marcu i w kwietniu b. r. urządziła Sodalicya św. Piotra Klawera seryę odczytów z obrazami świetlnymi dla dzieci polskich w Ameryce.

Na odczytach tych były także obecne Siostry Nauczycielki i wyjaśniały dzieciom rzeczy mniej znane. Po niektórych wykładach dzieci same przychodziły do tej misyonarki - pomocnicy, która im o Misyach opowiadała, dziękowały za interesujący wykład i przynosiły ofiarki. Znaczna liczba dzieci zamówiła »Murzynka«, niektóre dziewczynki objawiły pragnienie zupełnego oddania się na służbę Misyi w Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Jedno z najpiękniejszych zebrań odbyło się w parafii św. Stanisława w Milwaukee, w stanie Wisconsin. W dużej sali parafialnej zebrały się dzieci szkolne bardzo licznie, a nakoniec przybył JE. Ks. Biskup Kozłowski. Sam raczył najpierw przemówić do dzieci, a potem dał głos delegatce Sodalicyi św. Piotra Klawera, która wyjaśniła zadanie Misyi i sposoby, jakimi dzieci polskie mogą dopomagać Misyom, i pokazała na obrazach świetlnych, jak wygląda życie w Afryce między poganami i jak błogi wpływ wywiera na nich chrześcijaństwo. JE. Ksiądz Biskup raczył przewodniczyć całemu zgromadzeniu i zakończył je bardzo pięknem przemówieniem.

Niezatarte wspomnienie pozostawiły w umysłach zgromadzonych trzy zebrania misyjne w parafii św. Stanisława Kostki w Chicago. Dzieci i dorośli z tej największej polskiej parafii okazali, że umieją czuć i działać prawdziwie po katolicku. W górę serca!

Również bardzo piękne zebrania odbyły się w parafii św. Jadwigi w St. Louis i u św. Józafata w Milwaukee i wiele, wiele innych, o których nie

piszemy dla braku miejsca, ale które z pewnością zapisali Aniołowie w niebiesiech, aby żadna złożona ofiarka nie uszła nagrody, aby każde dobre życzenie i każda modlitwa mogły znaleźć wysłuchanie.

Lecz nie wystarczy zacząć, trzeba także i wytrwać! Nie zapomnijcie, drogie dzieci, że tyle jeszcze milionów dzieci pogańskich czeka na Waszą pomoc — nie odmawiajcie jej więc, a przedewszystkiem rozpowszechniajcie pisemko misyjne »Murzynka«. Kto zyska kilku nowych prenumeratorów »Murzynka«, otrzyma od Sodalicyi św. Piotra Klawera odpowiednie nagrody *).

*) Adresy biur, w których można zamówić »Murzynka«, na 2-giej stronie okładki każdego numeru.

Zbierajcie zużyte znaczki pocztowe, staniolę i kapsulki od butelek!

Redaktor odpowiedzialny: *W. Gędłek.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni »Czasu«.

Nakładem Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Liga dzieci dla Afryki: przez p. H. Szabłowską 1 rb. 50 kop.; p. M. Skuratowicz 2 rb. 4 kop.; Dzieci z ochronki Sióstr Felicyanek z T. 4 kor. 50 h.; pp. K. i J. Zemlak 20 h.; Ks. Kat. M. Gawron od siebie i dzieci szkolnych 8 kor. 20 h.; p. E. Przędzińska 50 kop.; p. A. Milhert 30 fen.

Ogólna suma: 12 kor. 90 hal., 4 rb. 4 kop., 30 fen.

Podarki chrzestne. Możność udzielania murzynom Chrztu św. i otworzenia im nieba jest szczęściem Misyonarza. Ponieważ jednak musi on łożyć na utrzymanie nowochrzczeńców, a często nawet czynić podarki ich rodzicom, wielką pomoc w tym względzie stanowi jałmużna na ten cel złożona. Dobroczyńcy mogą sami wybrać **imię** dla swych chrześniaków. Przeciętna suma podarku chrzestnego wynosi **24 korony, (21 marek, 10 rubli, 5 dolarów).**

Prośba „Murzynka“.

»MURZYNEK« prosi serdecznie wszystkich kochanych, miłych prenumeratorów. którzy jeszcze nie pomyśleli o wprowadzenie go do koła swych przyjaciół i znajomych, o dostarczenie mu jak najprędzej tej rozrywki. Nudzi się on bardzo w szafie, lub szufladzie, gdzie go zamykają po przeczytaniu, a nawet smutno mu i na stole w pustym pokoju. I onby lubił wyjść z Czytelnikami swymi na przechadzkę, w odwiedziny i zaraz być nowemu otoczeniu przedstawionym. Kart wizytowych z adresem wprawdzie nie posiada, bo jeszcze zbyt maleńki, lecz miejsce jego zamieszkania znajduje się na 2-giej stronie okładki każdego numeru.

»MURZYNEK« będzie bardzo wdzięczny, jeśli nowi mili znajomi o tem nie zapomną i zaproszą go do siebie. Koszta pobytu jego przez rok cały z podróżą wynoszą tylko **1 koronę** (= 1 markę = 50 kop. = 25 cent. am.), a każdy jego przyjazd radość sprawia.

Chętnie też uda się ze swymi prenumeratorami na wakacye. Bo ileżby tam poznał białych chłopczyków i dziewczynek!...

Redakcya.